Cena 60 groszy Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DWUTYGODNIK

ROK 3 WARSZAWA — 1930 — 15 CZERWCA NUMER 13

REDAGUJE KOMITET

Co słychać we wszechświecie?

czyli

ostatnie wiadomości z dziedziny astronomji

Ukazała się niedawno w „Bibljotece Groszowej“ praca wybitnego współczesnego astronoma angielskiego, J. H. Jeansa, p.t. „Eos, czyli granice astronomji“, w przekładzie Janiny Sujkowskiej, z przedmową Bruno Winawera, (Warszawa, 1930, str. 115, 11 fotografji, cena zł. 2.90.*) Jest to arcydzieło sztuki popularyzatorskiej. Autor mówi w swej książce o rzeczach ścisłych i zawiłych w sposób tak prosty i zrozumiały, iż jej inaczej, jak arcydziełem nazwać nie można.

Aby dać próbę czytelnikom „Wolnomyśliciela Polskiego“, co ta książka zawiera, pozwolę sobie zacytować szereg zdań z poszczególnych jej rozdziałów: niech mówią same za siebie. Bo „Eos“ Jeansa, to, ni mniej ni więcej, tylko jeden z rozdziałów wolnomyślicielskiego „Genesis“ i jedna z ksiąg, składających się na naukowy pogląd na świat. Poprostu coś, co należy do naszego „kanonu“.

---

*) Eos, znaczy po grecku jutrzenka; „Eos“ zwała się również bogini jutrzenki u Greków. Ten tytuł (Eos) ma zapewne oznaczać zapowiedź nadejścia „dnia“ wiedzy astronomicznej, gdyż to, co ludzkość zdołała dotąd poznać w tej dziedzinie i o czem nam autor w swej pracy powiada, jest zaledwie „świtaniem“ (jutrzenką). Takby wynikało z określenia przez autora dzisiejszych pokoleń ludzkich, jako „niemowlęcia“, które dopiero zaczyna się orjentować w swojem otoczeniu.

„Antropologowie i geologowie uczą, że człowiek istnieje na ziemi mniej więcej 300.000 lat[1]). Taka przestrzeń czasu dzieli nas od naszych małpich przodków. Pomiędzy nimi a nami urodziło się i umarło około 10.000 pokoleń ludzi. (autor liczy 3 pokolenia na stulecie). Z tych 10.000 pokoleń pierwsze 9.990 uważało ziemię za niewątpliwe centrum, a życie ziemskie za fakt centralny wszechświata. Jak przystało majestatowi i godności człowieka, ziemia tkwiła nieruchomo w przestrzeni, podczas, gdy strop niebieski obracał się naokoło niej..." „Kopuła (niebios) była przezornie usiana gwiazdami po to, aby ziemia, środek wszechświata, nie tonęła nocą w mroku. Dopiero ostatnie dziesięć pokoleń ludzkich ujrzało zagadkę bytu mniej więcej we właściwej perspektywie astronomicznej. („Eos").

Ale „wiek ziemi jest daleko sędziwszy, niż owe 300.000 lat istnienia człowieka. Dane geologiczne, a w szczególności radjoaktywność skał wskazują na jakieś dwa tysiące miljonów lat istnienia ziemi"...

„Stara matka ziemia musi uważać człowieka za bardzo nowe zjawisko. Ten „dwunogi szkodnik", „jeżeli zdołał uczynić tak wiele w pierwszych momentach istnienia, nasuwa się pytanie, co go jeszcze czeka w następnych, a niezliczonych wiekach, przez które dane mu będzie pracować na jej powierzchni, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa dotychczasowy okres przeżyty przez rasę ludzką jest niczem w porównaniu z tym, który ma przed sobą". „Za miljon miljonów lat od dziś słońce będzie świeciło prawie tak samo jak dziś i ziemia będzie się obracała naokoło niego tak, jak się teraz obraca. Tylko rok będzie trochę dłuższy, klimat znacznie zimniejszy, a bogate zasoby nafty, węgla i lasów zużyte oddawna". „Z punktu widzenia astronomicznej skali czasu ludzkość dopiero rozpoczyna egzystencję i znajduje się w położeniu nowonarodzonego niemowlęcia o niezbadanych możliwościach". „Niemowlęcy mózg zaczyna się budzić i zastanawiać w mętny, nędzny sposób, co to są za rzeczy, które go otaczają i do czego służą". „Ludzkość... dopiero w ciągu ostatnich paru minut uświadomiła sobie, że cały świat skupia się wokoło jej kołyski i powijaków i dopiero w ciągu paru ostatnich cyknięć zegara zaświtała jej w mózgu zgodna z rzeczywistością koncepcja rozmiarów otaczającego świata... Bo nasz zegar nie wybija sekund, ale lata, a jego minuty równają się okresom życia jednostek"... „Dopiero półtorej minuty temu zmierzono odległość

---

[1]) Porównajcie to z tem, co słyszycie na ambonie i co czytacie w biblji lub w katechiźmie katolickim.

pierwszej gwiazdy (słońca) i znaleziono calówkę[2]) dla wszechświata". „Z ostatniem zaś uderzeniem zegara dr. Hubble z obserwatorjum na Mount Wilson (Ameryka), posługując się tą miarką, odkrył, że najbardziej odległe ciała niebieskie, dostrzegalne przez największy teleskop na ziemi (o szkle średnicy dwa i pół metra; p.n.) są tak straszliwie dalekie, iż światło, przebiegające 300.000 km. na sekundę dochodzi od nich do ziemi po upływie 140 miljonów miljonów lat[3]). „Nasza wizja wszechświata rośnie stale i z coraz większą szybkością. Czy ta ekspansja nigdy nie będzie miała końca?... Sądząc z obecnego stanu rzeczy — tak!. „Przestrzeń nie może się rozciągać w nieskończoność i—pomimo, że nie ma kresu —jest ograniczona tak, jak powierzchnia ziemi.[4]) Dokładne cyfry są niemożliwe, ale dr. Hubble obliczył, że wg. wszelkiego prawdopodobieństwa, przestrzeń ciągnie się najwyżej tysiąc razy dalej od najdalszej mgławicy, widzianej przez największy teleskop". „Nasze niemowlę, ludzkość, dokonało doniosłego odkrycia: istnienia świata zewnętrznego, nabrało pewnego wyobrażenia o jego wielkości i wytworzyło swoje poglądy". „W późniejszych latach dokona ono wielu sensacyjnych odkryć, ale nigdy już nie przeżyje takiej nieśmiertelnej chwili, jak ta, w której pojęło ogrom otaczającego świata".

„Świeżo obudzony umysł dziecka" pyta się dalej: „Jeśli świat nie został stworzony po to tylko, aby służyć za tło jego kołysce, jakie w takim razie jest jego przeznaczenie?..I najbardziej interesujące zagadnienie: jeżeli świat jest taki ogromny, to czy mogą istnieć inne kołyski i inne niemowlęta?" (czyli inni ludzie na innych planetach?). „Kosmogonji roku 1928 (rok wydania po angielsku pracy Jeans'a) nie należy uważać żadną miarą za skończoną naukę albo za ostateczne rozwiązanie problematu. Jest ona raczej pierwszą mętną próbą dziecięcego umysłu

---

[2]) Pod „calówką" autor może tu mieć na myśli dwie rzeczy: albo odległość ziemi od słońca, czyli t.zw. „jednostkę planetarną", wynoszącą 150 miljonów kilometrów, albo szybkość światła, przebiegającego w ciągu sekundy 300.000 km. (ściślej: 299.860). Stąd łatwo obliczyć, że światło od słońca do ziemi biegnie 500 sekund czyli 8 minut z sekundami. Stąd słońce, które „wzeszło" przed chwilą dla naszych oczu, „wzeszło" naprawdę już przed 8 minutami. Podobnie rzecz się ma i przy „zachodzie" słońca.

[3]) Czternastka z trzynastoma zerami. Ponieważ „rok światła" równa się 10 miljonom miljonów km., odległość ziemi od najdalszych dostrzegalnych dziś ciał niebieskich wynosi w przybliżeniu liczbę kilometrów, którą piszemy dla krótkości: 14.10^{26}, czyli: 14 z dwudziestoma sześcioma zerami (t.j. czternastka, mnożona przez dziesiątkę w 26-ej potędze, czyli przez dziesiątkę, mnożoną przez siebie 26 razy).

[4]) Z wywodów autora wynika, iż wyobraża on sobie przestrzeń w formie wnętrza kuli.

usiłującego pojąć wszechświat" (stanowisko człowieka we wszechświecie).

„Niemniej oszałamiającą od rozmiarów przestrzeni jest olbrzymia ilość i rozmaitość zawartej w niej materji. Słońce, które jest miljon razy większe od ziemi[5]) a 300.000 razy cięższe, okazuje się czemś w rodzaju ziarnka piasku na wielkiej plaży"... Dr. Seares oblicza to niebieskie mrowie (gwiazdy) na 30 miljonów. A nie jest to jedyna rodzina gwiazd we wszechświecie. Wszystkie wielkie mgławice... są albo rodzinami gwiazd, albo składają się z gwiazd powstających, albo są materją, z której wg. wszelkiego prawdopodobieństwa gwiazdy kiedyś się narodzą. Każda z mgławic zawiera ilość materji, wystarczającą na tysiąc miljonów słońc. Dr. Hubble oblicza, że przez dwu i pół metrowy teleskop... widać około dwóch miljonów takich mgławic i że cały wszechświat jest mniej więcej tysiąc miljonów razy większy od przestrzeni, którą tym teleskopem ogarniamy. Da nam to prawdopodobną liczbę gwiazd we wszechświecie, wyrażoną w cyfrze 2.10^{-24},. (czyli dwójka z dwudziestu czterema zerami). „Taka sama ilość ziarnek piasku na powierzchni Anglji... utworzyłaby warstwę grubą na setki metrów. Sprobójmy sobie uświadomić, że nasza ziema jest miljonową częścią takiego ziarnka piasku, a nasze ziemskie sprawy, zmartwienia i czyny ukażą się nam we właściwym stosunku do wszechświata". („Ogrom przestrzeni").

„Gwiazdy uważano dawniej za punkciki świetlne. Dzisiejsza astronomja potrafi mierzyć ich temperatury... i ich wielkości—przy pomocy specjalnego przyrządu, interferometru gwiezdnego, i wreszcie obliczać wagę na podstawie przyciągania grawitacyjnego, jakie wywierają na sąsiednie gwiazdy. Tak samo ciężar ziemi obliczamy podług siły przyciągania, wywieranej przez nią na księżyc i utrzymującej go w orbicie. Te pomiary ujawniły olbrzymią rozmaitość gwiazd". „Najsłabsza znana gwiazda, Wolf 359, wysyła 50 tysięcy razy mniej światła, niż słońce. Gdyby ją postawić na miejsce słońca, morza ścięłyby się momentalnie w twardy lód, a atmosfera przeszłaby w stan płynny i cała ludzkość zginęłaby lodową śmiercią. Druga ostateczność: gwiazda S. Doradus promieniuje 300.000 razy więcej światła i ciepła, niż słońce. Gdyby tę gwiazdę postawić na miejsce słońca, nasza umiakowana temperatura podskoczyłaby do 7.000 stopni Celsj., to znaczy dwa razy wyżej, niż temperatura najgorętszej części łuku elektrycznego[6]) i cała twarda ziemia ze swojemi niebosiężnemi wieżami, wspaniałemi pała-

---

[5]) Nawet zgórą miljon, bo 1.310.157 razy.

[6]) Temperatura łuku elektrycznego wynosi zgórą 3000° C.

cami i nami samymi zamieniłaby się momentalnie w gorącą parę.

Prawie taka sama rozmaitość istnieje w wielkościach gwiazd. Najmniejsza znana gwiazda Van Maanena, jest mniej więcej tak duża, jak ziemia[7]). Miljon takich gwiazd możnaby upchać wewnątrz słońca i jeszczeby zostało sporo miejsca. Największa ze znanych gwiazd Betejgeza (w Orjonie; p.n.) jest znów tak olbrzymia, że pochłonęłaby w swem wnętrzu 25 miljonów słońc". Tylko „waga gwiazd wykazuje spokojną jednostajność. Niema ani jednej gwiazdy, której ciężar znany lub przypuszczalny wynosiłby mniej niż dziesiątą część wagi słońca, a bardzo niewiele takich, które posiadają dziesięciokrotną wagę słońca... Różna wielkość gwiazd zależy nie od ilości zawartej w nich materji, ale raczej od większej lub mniejszej spoistości (gęstości, zwartości; p.n.) tej materji. („Różnorodność gwiazd").

Pomimo olbrzymiej skali różnic w zakresie jasności, wielkości i gęstości (wagi) gwiazd, budowa ich jest prawdopodobnie jednakowa.... „Temperatura wnętrza słońca wynosi w przybliżeniu 50,000,000 stopni, i taka jest przeciętna temperatura wnętrza gwiazd w ogólności". „Gwiazdy zasadniczo mają taki sam układ, jak i najmniejszy atom materji". „W nauce, nieskończenie wielkie nie jest nigdy bardzo dalekie od nieskończenie małego". „Im bardziej złożona jest budowa atomu, tem wyższej trzeba temperatury, aby go rozbić. Nasze ziemskie proste atomy rozleciałyby się kompletnie we wnętrzu gwiazd, Atomy, które objawiają swoją obecność w widmach gwiazd, są naturalnie atomami zwykłych ziemskich pierwiastków—wodoru, żelaza, wapnia i innych. Atomy te, jako najlżejsze w gwieździe, wypływają naturalnie na powierzchnię i decydują o jej widmie. Ponieważ ziemia oderwała się od powierzchni słońca, jej skład chemiczny obejmuje siłą rzeczy te same lekkie pierwiastki. Ale istnieje przypuszczenie, że w głębiach gwiazd kryją się inne, nieznane, cięższe atomy. Przemawia za tem choćby to, że żadne ziemskie atomy, nawet rad i uran, nie mogłyby wyprodukować takiej ilości energji, jaką produkują atomy gwiezdne". („Budowa gwiazd").

„Ogrom przestrzeni idzie w parze z ogromem czasu. Wiek gwiazd wyraża się miljonami miljonów lat, najprawdopodobniej waha się w granicach od 5 do 10 miljonów miljonów lat. („Ogrom czasu").

Słońce i gwiazdy z każdym dniem tracą swoją wewnętrzną energję w formie promieniowania. Ani energja, ani materja we wszechświecie nie trwają wiecznie w jednej i tej samej postaci. Trwa tylko niezmiennie ich suma. Zamiana materji w energję jest źródłem promieniowania gwiazd. Przed kilku-

---

[7]) Gdy zupełnie wystygnie, stanie się „ziemią".

dziesięciu laty światło, elektryczność i magnetyzm uważano za „nieważniki". Zapomocą teorji elektromagnetycznej nauka wykryła ilość masy zawartej w promieniu. „Możemy obliczyć, pisze J. H. Jeans, — że reflektor, który promieniuje z siłą 50 koni mechanicznych, wyrzuca falami świetlnemi w przestrzeń masę w ilości 5/4 grama na sto lat". „Każdy cal kwadratowy powierzchni słońca jest w gruncie rzeczy reflektorem, promieniującym w przestrzeń z siłą 50-ciu koni mechanicznych i tracącym masę w ilości 5/4 grama na stulecie. Powierzchnia słońca jest olbrzymia, że jako całość wyrzuca w przestrzeń 250 miljonów tonn na minutę. Wczoraj musiało ważyć o 360.000 miljonów tonn więcej, niż dzisiaj, a jutro będzie ważyć o 360.000 miljonów tonn mniej, niż dzisiaj. Masywniejsze gwiazdy promieniują silniej, niż słońce, które 5 lub 10 miljonów miljonów lat temu było o wiele masywniejsze, niż obecnie..." „Promieniowanie jest stałym, ciągłym podatkiem od masy. Obserwacja wykazuje, że podatek ten jest progresywny i wzrasta niepomiernie dla najbogatszych gwiazd. Zuboża on wszystkie gwiazdy i wyrównywa wreszcie kapitały tych, które resztami gonią. Im starsze są gwiazdy, tem bardziej ich zubożałe masy są sobie równe. To jest główna przyczyna, dlaczego masy gwiazd są mniej więcej jednakowe. Wszechświat rozpływa się w promieniowaniu". („Źródło promieniowania gwiazd").

Ale czy się rozpłynie i roztopi, jak cukier w szklance herbaty? I czy osiągnie swój „stan ostateczny", zwany przez fizyków „układem maksymalnej entropji" [8]), skoro wiemy, że materja może się zamienić w promieniowanie i że w obecnych warunkach proces odwrotny jest niemożliwy? Na to autor odpowiada: „Ostateczny stan wszechświata podlega bardzo dokładnym obliczeniom. Rachunek wykazuje, że szanse przeciwko temu, by w ostatecznym stanie choć jeden atom, zdolny do zamiany w promieniowanie pozostał w stanie materji, są niewyobrażalnie olbrzymie, wyrazić je można cyframi: jedynką z 420 tysiącami miljonów zer — do jednego". Są to więc szanse bardzo minimalne, aby takie całkowite roztopienie się wszechświata w promieniowaniu nastąpiło. („Kres wędrówki promienia").

Ale co to jest promieniowanie i na czem ono polega? „Zasadniczy proces promieniowania polega na wpadaniu na siebie dwóch odmiennie naładowanych cząsteczek elektrycznych przez co niszczą się nawzajem i znikają. Na ich miejsce pojawia się wytrysk energji promienistej, która wędruje wewnątrz gwiazdy, dopóki po niezliczonych absorbcjach i re-

---

[8]) Energją w fizyce nazywamy każdą siłę, która jest w stanie wykonać jakąś pracę. Ten stan energji, który już żadnej pracy wykonać nie może, nazywamy entropją. Stąd „maksymalna entropja" znaczy: największe wyczerpanie (zużycie) energji.

emisjach (wchłonięciach i ponownych wyzwoleniach) nie wydostanie się na powierzchnię i nie ucieknie w przestrzeń. Nasuwa się pytanie, jaki rodzaj atomów jest źródłem promieniowania? Czy słońce mogłoby mieć taką zdolność promieniowania, gdyby jego wnętrze składało się z pospolitych pierwiastków ziemskich?.. Odpowiedź najbliższa brzmi: nie! Nawet gdyby kula słoneczna składała się z czystego uranu,[9]) jej siła promieniotwórcza wynosiłaby tylko połowę rzeczywiście zaobserwowanej. Co więcej, starczyłoby tego zapasu zaledwie na minimalną część przypuszczalnego wieku słońca. Słońce złożone z samego radu,[9]) promieniowałoby więcej, niż z dostateczną siłą, ale trwałoby najwyżej kilka tysięcy lat. Żadna możliwa kombinacja pierwiastków ziemskich nie mogłaby dać tak wysokiego promieniowania i długiej wystarczalności, jakie stwierdzamy w słońcu i w gwiazdach". Cóż więc tedy stanowi tę przyczynę? Ciśnienie? czy temperatura gwiazd, nieosiągalna w naszych laboratorjach? I to nie. „S. Doradus, najjaśniejsza ze znanych gwiazd, należy do najchłodniejszych i wnętrze jej posiada wyjątkowo niskie ciśnienie. Z drugiej strony gwiazda Wolf 359, najciemniejsza ze znanych gwiazd, wyróżnia się straszliwem ciśnieniem wnętrza i straszliwą temperaturą. Jeżeli uszeregujemy gwiazdy podług porządku energji promienistej na jednostkę masy, przekonamy się, że porządek ten nie odpowiada ani kolejności temperatur, ani ciśnień, lecz mas. Im gwiazda masywniejsza, tem energiczniej promieniuje". Ponieważ promieniowanie zużywa masę, najmasywniejsze i najcięższe gwiazdy są najmłodsze. Starsze są lżejsze i wyczerpane. („Ewolucja materji gwiezdnej").

Podług wszelkiego prawdopodobieństwa na ziemi istnieje 92 typy atomów, chociaż dwóch jeszcze nie odkryto. Różnią się one od siebie ilością elektronów i ta liczba nazywa się ich „numerem atomowym". Szereg zaczyna się od wodoru, najlżejszego i najprostszego atomu o jednym elektronie, a kończy na uranie, który ma 92 elektrony i jest najcięższym i najbardziej złożonym atomem, jaki znamy na ziemi. Zasługuje na uwagę fakt, że wszystkie atomy z liczbą atomową poniżej 84 są atomami „stałemi" lub „trwałemi", bez tendencji do promieniowania. Wszystkie zaś z liczbami atomowemi powyżej 83, są „radjoaktywne". Pierwiastki radjoaktywne należy uważać za pomost między „trwałemi" ziemskiemi pierwiastkami a „świetlistemi" atomami gwiezdnemi, które muszą mieć liczby atomowe wyższe, niż 92. Zgadza się to z wymaga-

[9]) Jeden z pierwiastków promieniotwórczych. Zob. „Katechizm wolnomyślicielski" Dr. Ploehna, przyp. 8.

niami teorji gwiazd płynnych, które muszą mieć atomy cięższe i więcej złożone, aniżeli uran, aby mogły stawiać opór intensywnej temperaturze wnętrza gwiazd inie rozpadać nię na części. Atomy świetliste, jako najcięższe w gwieździe, opadają ku środkowi, podczas gdy trwałe, jako najlżejsze, unoszą się na powierzchni. Ziemia może zawierać tylko najlżejsze z atomów słonecznych, bo oderwała się kiedyś od powierzchni słońca. Dlatego to ziemia składa się tylko z atomów stałych, które nie rozprzęgają się w promieniowanie. Pierwiastki promieniotwórcze są na ziemi wyjątkiem. Ta jedynie okoliczność umożliwia życie na ziemi, bo gdyby nasza planeta zawierała poważniejszą ilość atomów świetlistych, temperatura jej byłaby nie do zniesienia. Ta sama okoliczność obdarza ziemię pewnego rodzaju melancholijną nieśmiertelnością; będzie ona istniała długo potem, gdy już gwiazdy rozpadną się w ciemnościach, a z powierzchni globu zniknie światło i życie.

Jak widzimy, rozpadają się tyko pierwiastki złożone. Czyli chemiczny kierunek ewolucji wszechświata zmierza od złożoności do prostoty, gdy w świecie bio-psychicznym idzie w przeciwnym kierunku: od prostoty do złożoności.“ („Materja świetlista“).

„Gwiazdy rodzą się prawie napewno w łonie mgławic. Wśród mgławic panuje wielka rozmaitość kształtów, ale łączy je wszystkie jedna cecha wspólna: wszystkie stanowią olbrzymie masy gazu, obdarzonego ruchem rotacyjnym (obrotowym). Droga Mleczna (która jest również mgławicą) zaznacza płaszczyznę równikową mgławicy pierwotnej (z której powstały gwiazdy). Sądząc z wieku słońca, autor określa trwanie świata na 8 miljonów miljonów lat, choć niewykluczone jest, że inne gwiazdy mogły być jeszcze starsze. „Dalej, nie da się określić, jak długo materja gwiezdna może trwać w stanie mgławicy, nim zaczną się z niej tworzyć gwiazdy. Stąd nic w astronomji nie oznacza dokładnie czasu, „wielkiego poranka świata“, czyli jego początku. Nie możemy powiedzieć, czy materja powstała za jednym zamachem, czy powstawała stopniowo i nie wiemy, jakie jest jej pochodzenie. („Życie gwiazd“).

„Planety są prawdopodobnie szczątkami gwiazd“, które wpadły jedna na drugą lub choćby tylko przebiegły blisko obok siebie. „Rezultat tego rodzaju spotkania jest taki, „że na obu gwiazdach podnoszą się olbrzymie fale przypływu gazu (skutkiem przyciągania), kondensującego się w oddzielne kule. Gdyby słońce nasze nie spotkało się na bliską odległość z inną gwiazdą, nie powstałby system sło-

neczny, nie byłoby ziemi, ani nas. Ponieważ spotykanie lub choćby wielkie zbliżenie się dwóch gwiazd mogło mieć miejsce tylko w wyjątkowych okolicznościach, niewiele zapewne gwiazd może się poszczycić „wieńcem planet“. Na tysiąc miljonów gwiazd, otaczających słońce, istnieje pewnie nie więcej, niż 10,000 systemów planetarnych, bo na powstanie większej ilości nie starczyłoby czasu. Naturalnie rodzą się ciągle nowe. Podług rachunku jedne takie urodziny wypadają na tysiąc miljonów lat. O ile możemy osądzić, nasza część wszechświata przeżyła już najciekawszy okres swego życia. („Narodziny planet“).

Planety są jedynemi, wiadomemi nam miejscami, na których może istnieć życie. Gwiazdy są za gorące. Gazowe mgławice są pod każdym względem nieodpowiednie. Życie wymaga specjalnego rodzaju materji która nie wydziela silnego światła i ciepła i nie przeobraża się w promieniowanie. Stąd podług danych kosmogonicznych, życie ogranicza się do niesłychanie drobnego zakątka wszechświata. Odpowiedź na niemowlęcą ciekawość ludzkości, czy istnieją jeszcze inne kołyski i inne niemowlęta, brzmi zdaje się tak, że w najlepszym razie jest tych kołysek (warunków do powstania życia) bardzo niewiele i że niema sposobu dowiedzenia się czy są one zajęte czy też nie. W rzadkich okolicznościach mogą powstać przypadkowo ciała podobne do naszej ziemi, złożonej ze specjalnych chłodnych popiołów, które już nie promieniują. I dopiero na takich popiołach możliwe jest życie. Ale obecnie nie odnosimy wrażenia, żeby zasadniczym celem natury miało być życie. Normalna gwiazda i normalna mgławica tyle mają wspólnego z życiem, że je uniemożliwiają. Życie jest końcem łańcucha produktów ubocznych i wydaje się czemś przypadkowem. Fakt, że wszechświat jako całość jest, jak się zdaje przeciwny życiu, kusi do wniosków dalekich i szerokich. Inne, zupełnie różne wnioski mogą być wysnute z faktu wyposażenia naszej ziemi w warunki szczególnie sprzyjające życiu. Uważam, że najlepiej będzie nie zapędzać się ani w jedną ani w drugą stronę“. (Życie i wszechświat“).

Daje więc tu autor ostrożną przestrogę tym wszystkim, którzy dotąd uważają ziemię za centrum wszechświata, a jej nic nieznaczące stanowisko w ogromie kosmosu za wyjątkowe i do tego stopnia uprzywilejowane, że aż pozwalają sobie utrzymywać, iż rzekomy stwórca, sprawca i władca tego ogromu przyszedł się „objawić“ na tę „małą kropkę nad najmniejszą literą i“ (Winawer) wszechświata: i zamie-

szkującym ją mikrobom zesłał nawet swego syna, aby ich odkupił od jakiejś tam winy.

Zmarły przed kilkoma laty francuski astronom, Kamil Flammarion, miał zaprawdę słuszność, mówiąc, że „astronomja jest nauką, która uczy człowieka skromności“. I nietylko to: jest to jedyna z gałęzi ludzkiej wiedzy, która nietylko przygniata, ale i upaja i nietylko wykazuje niedostrzegalną małość człowieka, ale i zdumiewającą potęgę jego genjuszu. Mikrob ten, który z odległości dwóch kilometrów od ziemi, już jest trudny do zauważenia gołem okiem, zdołał przy pomocy wynalezionych przez siebie narzędzi i skomplikowanych obliczeń zbadać zakamarki wszechświata i wymierzyć odległości przestrzeni i czasu, wyrażające się w tak zawrotnych cyfrach, iż jego własna wyobraźnia nie jest ich w stanie odtworzyć, bo jego myśl badawcza wyprzedziła jego własne odczucie.

To nic, że ten wspaniały obraz otaczającej nas przyrody może być tylko tworem naszego własnego umysłu, „sennem majaczeniem“ fanatyków naukowej prawdy, „a my sami komórkami uśpionego mózgu“ (jak powiada autor w zakończeniu swojej zachwycającej książki): obraz ten jest tak wspaniały, że damy go sobie zabrać tylko pod warunkiem, że następny będzie jeszcze wspanialszy! A że będzie jeszcze wspanialszy, nie wątpimy ani na chwilę. Bo myśl ludzka nie zna zastoju. Bo uporczywa żądza poznania prawdy żywi wraz z autorem nadzieję, iż „dzisiejsza ludzkość, owo kilkotygodniowe niemowlę, ma przed sobą jeszcze dość czasu, aby zrozumieć WSZYSTKO“.

A to „wszystko“ zrozumie ona tylko w tym wypadku, jeżeli będzie chciała wiedzieć, a nie wierzyć; jeżeli będzie szła za głosem swych uczonych, a nie za głosem kapłanów: za głosem tych, którzy badają i idą naprzód, a nie za głosem tych, którzy boją się wiedzieć i stale zawracają ludzkość z powrotem do pojęć kosmogonicznych [10]) autora Pięcioksięgu Mojżesza.

Oto wg. dr. Hubble, wzrok ludzkości zagłębił się już w przestrzeń na 140 miljonów miljonów „lat światła“ i nie natrafił nigdzie ani na ślad teologicznego „nieba“ i jego domniemanych mieszkańców, ani na ślad czyśćca i piekła, ani na siedlisko dusz, bytujących wiecznie, bo te katechizmowe „prawdy,“ to fikcja, którą się karmi od tysiącoleci ciemne wierzące masy, aby je utrzymać w zależności duchowej i wydawać na łup duchowego i materjalnego wyzysku.

To też my, dla których jedyną świątynią jest cały świat, a jedynym ołtarzem pracownia uczonego, kierujemy pełen ufności wzrok na ten przeczuwany i zapowiedziany przez proroków Nauki moment, w którym dzisiejsze niemowlę ludzkie zrozumie WSZYSTKO.

---

[10]) Kosmogonja, nauka o powstaniu świata.

To nic, że nas już wtedy nie będzie. Wystarczy nam wiara, że do tego dojdzie i pewność, że nasz ateistyczno-wolnomyślicielski instynkt nie zawiódł nas, że wszystko, co dotąd wieściło światu, „czyste objawienie“ jest czystem kłamstwem i że jedyną ewangielją, godną człowieka, jest „dobra nowina“ [11]) poznania Prawdy. Wszystko inne już nie dla nas: wyrośliśmy z kościelnych powijaków. Świadomi tego, wołamy w zachwycie, wolnym od małodusznego lęku o bytowanie pośmiertne:

„Ave, Veritas! morituri te salutent!“ [12])

Henryk Wroński

O pomnik na mogile Adama Wiślickiego

Jezuici zniszczyli logiczne myślenie w Polsce. Czasy saskie rozpoiły naród. Przełom umysłowy 18-o wieku słabo bardzo zaznaczył się w upadającem już państwie. Ci, co Polskę podzielili, naturalnie mało się starali o chodowanie myśli w narodzie ujarzmionym, a już najmniej chodziło o nią tyranom rosyjskim.

System szkolny Mikołaja I (Muchanowowski)*) wytwarzał przeważnie posłuszne, bierne jednostki. Myślenie samodzielne zamarło. Doszło do tego, iż gorętsze jednostki szukały w poezji programów politycznych. Pojawia się mesjanizm i towianizm i znajduje bezkrytycznych zwolenników.

A kiedy pojawi się jedyny od stulecia „mąż stanu“ polski, Wielopolski, to przedewszystkiem kler stanie wrogo przeciw jego oświatowym zamierzeniom, a rozbujana i nierzeczowa myśl społeczna widzi w nim tylko brutalne ujęcie, niedoceniając doniosłych a bardzo realnie i przewidująco pomyślanych zamierzeń.

Ruch 1863/4 — bardzo poetycki, ofiarny i rycerski, skończy się zagładą i kaźnią najdzielniejszych jednostek w narodzie.

Wtedy to, jak powiada B. Chlebowski w „Rozwoju Kultury Polskiej“ (Warszawa 1917) „klęska powstania i ruchu 1861 — 64 zdetronizowała władnącę duszami polskiemi mesjanistyczną i mistyczną ideologię, wysnutą z wizyj wierzeń i wskazań poetów i wywarła reakcję tłumionej, lekceważonej umysłowości, która hasło swe „wiedza, to potęga“ przeciwstawiła Mickiewiczowskiemu „miej serce i patrzaj w serce“.

---

[11]) Ewangielja, znaczy „dobra nowina“.
[12]) „Bądź pozdrowiona, Prawdo! mający umrzeć pozdrawiają ciebie!“
*) J. Grabiec. Charakterystyka systemu Muchanowowskiego. Poznań u Rzepeckiego 1913.

Wtedy, w r. 1866, Adam Wiślicki, młody człowiek niepospolitego talentu publicystycznego miał odwagę wystąpić śmiało, gromić zacofanie i nawoływać do pracy na polu społecznem.

Nowo założony przezeń „Przegląd Tygodniowy“, podjął odrazu wysoko sztandar postępu, był zwiastunem potężnego rozwoju pracy organizacyjnej i haseł t. z. pozytywizmu“[1]).

Współpracowali z Wiślickim Leopold Mikulski, Henryk Elzenberg, Bronisław Rajchman i inni. Następnie rozwijający się „Przegląd Tygodniowy“ jednoczy „młodych“ w narodzie, pracują w nim najwydatniejsi nasi pisarze owej epoki — A. Świętochowski, H. Sienkiewicz, T. T. Jeż (Miłkowski) oraz zastęp wybitnych umysłów t. z. „głowaczy“ tamtych czasów.

Jest przeto Adam Wiślicki niejako twórcą odrodzonej, niezależnej, badawczej i krytycznej myśli w Polsce. A myśl taka toć przecie matka wolnomyślicielstwa polskiego.

Czterdzieści lat pod uciskiem cenzury i niewoli rosyjskiej uczy „Przegląd Tygodniowy“ Adama Wiślickiego myśleć krytycznie, rzeczowo, naukowo, pozytywnie. Te 40 lat (1866 — 1906) pozwoliły zdolniejszym jednostkom na wyrobienie myśli, a jeżeli co, to właśnie tylko myśl jest zarodem wszelkiego wolnomyślicielstwa.

Jest przeto Adam Wiślicki niejako naszym duchowym przodownikiem i rodzicem.

Z jego nauki myślenia powstaliśmy i istniejemy. Ma więc ten niepospolity umysł wielkie dla nas znaczenie. Kraj polski kiedyś zapewne uczci go pomnikiem, my zaś, wolnomyśliciele polscy, mamy niejako obowiązek na mogile Adama Wiślickiego postawić chociażby prowizoryczny znak, iż tu w tej mogile spoczywa ten, którego praca pokierowała myśl narodu na właściwe zdrowe tory.

Adam Wiślicki zmarł 28.VII.1913 r. Pochowany na Powązkach w ziemi bez nagrobka.

Cały swój dorobkowy znaczny (przed wojną 1914—18) majątek zapisał własnoręcznym testamentem z 1 września 1910 r. na cele oświatowe.

Wyznaczył wykonawców ostatniej tej swej woli w osobach: Mecenasa Antoniego Pileckiego, Mecenasa Gabryela Kempnera[2]), oraz Marjana Wawrzenieckiego. Wybuch wojny europejskiej, zdeprecjonowanie gotówki, wywiezienie części funduszów do Rosji oraz t. z. „przerachowanie“ opóźniły wykonanie testamentu. Obecnie obdarowane są dwie instytucje oświatowe — Kasa pomocy dla pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego oraz Bibljoteka Pu-

---

[1]) Z pamiętników Stanisława Jana Czarnowskiego — Kielce 1921 r.
[2]) Kładł na to nacisk, aby wykonawcą był również i semita.

bliczna, Koszykowa 26 w Warszawie. Antoni Pilecki zmarł 29.X.1921, Gabryel Kempner 6.IV.1916 z powodu złego stanu zdrowia usunął się, a w dni parę życie zakończył.

Wolni myśliciele polscy w Odrodzonej Ojczyźnie, czas, aby Adamowi Wiślickiemu na grobie postawić chociażby najskromniejszy znak uznania od tych, którzy zasługi zmarłego rozumieją, ich niepospolite dla kraju znaczenie doceniają. Ten skromny czyn zbiorowy będzie podnietą dla następnych pokoleń, aby człowieka tej miary i zasługi jak Adam Wiślicki, w przyszłości tak jak na to zasłużył „odrodzeniem myśli polskiej“ odznaczyć!

Marjan Wawrzeniecki

Ob. M. Wawrzeniecki otwiera listę składek na cel powyższy kwotą zł. 10.—. Dalsze składki prosimy kierować do P.K.O. № 14.200.

Kronika

Cuda jezuickiej statystyki

Pallotyńsko-jezuicka „Polska“ (w cudzysłowie) doniosła niedawno, że w r. 1928 przybyło do Lourdes [1]) 196.806 pociągów z pielgrzymami, dla których „niezliczone mnóstwo“ księży odprawiło 70.000 mszy. Te prawie 200 mszy dziennie wcale nam nie imponuje wobec „niezliczonego mnóstwa“ księży katolickich. Ale liczba przybyłych do Lourdes pociągów osobowych trochę nas zastanowiła. Daje to bowiem 542 pociągi dziennie, czyli jeden pociąg osobowy (nie licząc towarowych) co dwie i pół minuty w tą i z powrotem. A przecież i towarowych pociągów też musiało przyjść prawie drugie tyle choćby z prowiantami, bo żołądki ludzkie nie uznają „nadnaturalności“ i nie dają się zaspokoić pobożnemi nastrojami. Wymagają one rzeczy konkretnych i całkiem realnych. Każdy żołądek nie wyłączając papieskiego, to typowy materjalista-bolszewik, patrzący na wszystko z „naucznoj toczki zrenja“: chemik i fizyk pierwszej klasy,

[1]) Czytaj: Lurd. Jest to francuska Jasna Góra. Historja powstania Lurdu, jako miejscowości „cudami słynącej“ wiąże się z ogłoszeniem przez Piusa IX w dniu 8 grudnia 1854 roku dogmatu o niepokalanem poczęciu. Ponieważ dogmat ten, aby mieć „większe zrozumienie“ wśród wiernych: potrzebował kultu, tak się jakoś „cudownie“ stało, że w trzy lata po ogłoszeniu tego dogmatu, bo w lutym 1858 r. pewna wiejska dziewczyna, Bernadetta Soubirous, miała „widzenie“ w jednej z grot francuskich Pirenejów, młodego dziewczęcia, które oświadczyło zachwyconej Bernadetce: Jestem Niepokalane Poczęcie. To wystarczyło, aby tym oczywistym faktem, potwierdzającym watykański dogmat, zajęli się jezuici i zrobili z niego pobożny humbug, który „ojcom z Groty“ przynosi miljonowe dochody. Pius IX posłał „oblubienicy z Lourdes“ złotą różę (zob. W. P. Nr. 23 z r. 1929 „Papież, jako galant.“), a Leon XIII zatwierdził jej kult. I wszystko jest w porządku wierni wierzą, płacą, i kąpią się w cudownej sadzawce, a pomysłowi ojcowie inkasują gotówkę i przez swoich kompanów w innych krajach robią wszystko, aby im głupców nigdy nie zabrakło.

Bernadettką zaś, gdy już „cudowny“ interes rozwinął się należycie, zajęły się zakonnice i trzymały ją do śmierci jako „biedną chorą“, co nie przeszkadza, że zostanie ona „w swoim czasie“ kanonizowana. Jej histerja

obchodzący się bez hypotezy boga, jak matematyk Laplace przy opracowywaniu „Mechaniki nieba“.

Czyli innemi słowy: ruch pociągów w r. 1928 na niewielkiej stacji w Lourdes odbywał się przeciętnie co minutę i 15 sekund. Był to prawdziwy rekordowy sukces w dziejach kolejnictwa nietylko francuskiego. Rekord tak wielki, iż ma wszelkie dane, aby go nazwać największym cudem, jaki się stał w r. 1928 w francuskim Niepokalanowie. Tego „cudu“ przy niezwykle skromnej pojemności torowej i taborowej Lurdu nawet rektor Akademji bezbożniczej w Leningradzie nie byłby w stanie wyjaśnić.

Bo zastanówmy się jeszcze nad taką kwestją. Jeżeli pociągi do Lourdes przychodziły tak samo nabite, jak pociągi do Częstochowy w najbardziej matkoboskie święta, czyli mniej więcej po 500 osób każdy, wynikałoby z tej jezuickiej statystyki, iż w r. 1928 połowa zaludnienia całej kuli ziemskiej odbyła pielgrzymkę w francuskie Pireneje. Z drugiej strony wiemy, że katolików jest na świecie około 320 miljonów. Pątnicy zaś innych wyznań, jak protestanci, mahometanie, prawosławni, starozakonni, buddyści, braminiści, konfucjoniści, szyntoiści i t. p. napewno do Lourdes się nie kwapili. Z tego wynika, że każdy katolik, czy chiał, czy nie chciał, musiał być w Lourdes w roku 1928 przynajmniej trzy razy.

Ostatecznie i to mogłoby być zrozumiałe. Ale rzecz cała komplikuje się jeszcze bardziej przez to, że z zagranicy miało przybyć tylko 60.000 osób. Z tegoby wynikało, że każdy francuz był w Lourdes zgórą dwa tysiące razy w ciągu jednego roku. A że, jak statystyka powiada, tylko 10% francuzów chodzi do kościoła (w tem mężczyzn 1%), każdy praktykujący katolik we Francji musiał być w Lourdes w r. 1928 przeszło 24 tysiące razy. To nam się jednak wydaje trochę za często.

Pozostawmy te obliczenia teologom. Jest to zajęcie jakby stworzone dla tego rodzaju próżniaków i darmozjadów, już przez to samo szkodliwych, że nikomu na nic niepotrzebnych.

---

opłaciła się bowiem kościołowi znakomicie, i tego jej kościół rzymski nigdy nie zapomni.

Podobnym „objawieniom“ zawdzięczają katolicy niejedno cudowne miejsce i nie jeden kult. Kult serca jezusowego zawdzięczają papieżnicy „mistycznemu dziewczęciu“, Marji Małgorzacie Alacoque, która w r. 1675 „widziała“ skrwawione serce Jezusa i wzamian dała mu swoje. Jej spowiednik, jezuita La Colombiere, choć wizjonerkę uważał za warjatkę, wyzyskał jednak ten „fakt“ i zaprowadził adorację serca jezusowego, którą Rzym początkowo potępił, ale potem „ustąpił“, potępienie odwołał i święto jest. Małgorzatę zaś Alacoque beatyfikował w 1864 r.

Podobnemu „widzeniu“ zawdzięczają katolicy francuscy inne miejsce „cudami słynące“: La Salette w dep. Izery. Tam znowu niejaka Melanja de la Merliere postanowiła „zrobić cud“ i „objawić się jako matka boska“. Ubrała się w żółtą suknię, na głowę włożyła kapelusz w kształcie głowy cukru i „ukazała się“ na skale dwom pastuszkom. Było to w r. 1846. Mimo, że wstępne dochodzenia wykazały oszustwo, kler francuski nie dał sobie wydrzeć takiej gratki z ręki i miejsce owo słynie i cudami i wielkiemi dochodami kleru.

Takich „cudownych objawień“ i w Polsce nie brakuje; Gidle, Skempe, Leśna, Giecwałd, itd.

Temu zaś teologowi, co tę wiadomość o 196 tysiącach pociągów wymyślił, radzimy udać się do Lourdes najbliższym pociągiem i wykąpać się w cudownej sadzawce, a ręczymy, że jeżeli nie zostanie wyleczony ze skutków upadnięcia na głowę w seminarjum duchownem (co niewątpliwie musiało nastąpić), to przynajmniej trochę ochłonie po zimnej kąpieli. A może on już tam był, tylko mu nie pomogło? W takim razie ma wszelkie kwalifikacje, aby pracować dla królestwa niebieskiego w „Polsce" jezuickiej.

Polska w wieku XV, a w wieku XX

Podczas dwóch ostatnich sesyj sejmowych poświęcono wiele czasu t. zw. zmianom konstytucji. Zmiany te były tak „osobliwe" w swoich zamierzeniach, że nieuprzedzony obywatel zachodził chwilami w głowę i pytał samego siebie, czy ci, co te zmiany proponują, mają wogóle głowy. A jeżeli je mają, to czy nie są to głowy przypadkiem tylko do pozłoty i do umieszczenia na pierwszym lepszym katolickim ołtarzu.

Obecna konstytucja wymaga np. aby Prezydent Rzeczypospolitej składał „przysięgę" wobec Zgromadzenia narodowego, czyli wobec sejmu i senatu, zwołanych na sesje wspólną. Ta forma „przysięgi" wydała się sanacji, a raczej familji marszałka Piłsudskiego za b. świecka i heretycka, wobec czego p. Jan Piłsudski, jak to już dziś wiemy, zaproponował postanowienie to tak zredagować, aby przysięga Prezydenta odbywała się obowiązkowo w jednym z kościołów katolickich — coby, oczywiście, wykluczało wybór na stanowisko Głowy Państwa niekatolika. W ten sposób francuski prezydent Doumergue lub czeski Masaryk nie mogliby swoich urzędów piastować w sanacyjnej Polsce.

Do spraw wyznaniowych i wogóle do spraw związanych z wolnością sumienia i z wolnością przekonań jeszcze ci panowie nie doszli. Nie trudno wszakże sobie wyobrazić, jakim duchem byłyby ożywione projekty, mające „uzdrowić" te zagmatwane kwestje i niezdrowe stosunki w naszem młodem państwie.

Jesteśmy więcej, niż pewni, że raczej zbliżonoby nas do konstytucji hiszpańskiej, aniżeli do francuskiej, tureckiej lub meksykańskiej. Dlatego sądzimy, że może nie od rzeczy będzie przypomnieć na tem miejscu, jak się na te kwestje zapatrywało w Polsce nawet duchowieństwo parafjalne za czasów Kazimierza Jagiellończyka, czyli w połowie XV wieku.

Oto na sejmie lubelskim w r. 1460 Jan Ostroróg, wojewoda poznański, autor znanego „Memorandum pro reipublicae ordinatione congestum"... z r. 1456 wystąpił w imieniu drobnej szlachty i proboszczów z następującym wnioskiem:

„Pocóż mamy udawać wierność i zaufanie do cudzoziemców? Zwróćmy raczej uwagę na to, czego sobie życzy szczerze drobna szlachta i proboszczowie parafjalni. Oto:

1) Czechy uwolniły się już od pasorzytów rzymskich[1]). Czas tedy, aby i Polska to samo uczyniła i zaprzestała udawania zależności od papieży rzymskich, aby wypowiedziała im posłuszeństwo i zaniechała zupełnie form uległości, zależności, podległości i lenniczych hołdów, aby nie uiszczała więcej żadnych opłat na rzecz kurji rzymskiej, t. j. żadnych annat (części rocznych dochodów z beneficjów, biskupstw, probostw), żadnych dziesięcin, zbieranych od ludu polskiego dla włochów, na rzecz biskupów, arcybiskupów legatów, kardynałów i nuncjuszów Rzymu.

2) Byliśmy zmuszeni przez niemców[2]) do posłuszeństwa i zależności od Rzymu. Ale wielki już czas zerwać nietylko wszelką zawisłość, lecz i wszelkie stosunki ze stowarzyszeniem rzymsko-niemieckiego uniwersalizmu i przestać wreszcie być prowincją Rzymu.

Wobec czego żądamy:

3) aby ustanowić z powrotem kościół słowiański soborowy, niezależny od Rzymu,

4) aby wypędzić nawet posłów papieskich i niemieckich, siejących niezgodę, i podjudzających czechów, polaków, litwinów przeciwko rusom, oraz uczynić wszystkich bez wyjątku proboszczów słowiańskich żonatymi obywatelami kraju i urzędnikami państwa,

5) aby ogłosić za naszego jedynego ojca świętego Tego, który jest w niebiesiech, a nie tego, który jest w Rzymie i usunąć to wszystko, na co przysiąc nie można, a co jest wymysłem kurji rzymskiej, jak łacińskie księgi i pisma, celibat, klasztory, inkwizycje, tortury i odpusty,

6) aby oddać szkoły pod nadzór władz rządowych,

7) aby zrównać wszystkich wobec prawa,

8) aby zaprowadzić obowiązkową służbę wojskową,

9) aby całą władzę polityczną: prawodawstwo, rząd i wojsko złożyć w ręce panującego i zabezpieczyć go od ograniczania jego władzy ze strony biskupów i wielmożów"[3]) (podkr. n.).

Jak widzimy, nie mamy się czego wstydzić naszych przodków z XV i XVI wieku. Raczej przeciwnie: to pokolenie Ostroroga mogłoby się wstydzić nas. Należy tylko żałować, że owa

[1]) Było to jeszcze przed wystąpieniem Lutra. Ostroróg ma tu na myśli reformę Husa.

[2]) Południowe dzielnice Polski, przylegające do b. Państwa Wielkiej Morawy, przyjęły chrześcijaństwo jeszcze w wieku IX, a przyjęły je w obrządku słowiańskim, to zn. z liturgją w języku narodowym, a nie w łacińskim. Obrządek łaciński narzucili Polsce Niemcy za Mieszka I. Przyjąwszy katolicyzm z rąk niemieckiego kleru, Polska stała się tem samem zależną i od Niemiec i od Rzymu.

[3]) Cytujemy za „Królestwem bożem na ziemi"(org. kośc. marjaw.) N 7/30.

konstytucja nie przeszła. Utrącił ją kler rzymski ustami historyka Jana Długosza, kanonika krakowskiego i sekretarza kardynała Oleśnickiego[4]), zagroziwszy szlachcie wojną religijną przez podjudzenie wierzącego motłochu katolickiego przez kler rzymski przeciwko tym, którzyby chcieli oderwać się od Rzymu i zaprowadzić kościół narodowy.

Ustęp tego przemówienia Długosza omówiliśmy w Nr. 5 W. P. (Z prasy).

Z postulatów Ostroroga zrealizowaliśmy tylko punkty 7 i 8, ponieważ nie zahaczały o Rzym. Punkt 9 stał się nieaktualny, skutkiem zmiany ustroju politycznego. Inne pozostały dotąd aktualnemi pomimo, że od czasu ich postawienia upłynęło 470 lat. Bo oto w dalszym ciągu jesteśmy prowincją Watykanu. W dalszym ciągu hołdujemy rzymskiemu dalajlamie parę razy do roku. W dalszym ciągu utrzymujemy jego pretorjanów i „zaprzysięgłych urzędników“ ze Skarbu Państwa. W dalszym ciągu wpuszczamy kler rzymski do szkół, aby, jak powiada Długosz, zaszczepiał w młodzieży „ślepą wiarę i pozyskiwał sobie zaufanie ciemnego, a raczej ociemnionego i uzabobonnionego ludu“, czynił sobie z niej narzędzia swojej antypolskiej i antynarodowej polityki, zmierzającej, jak to również Długosz stwierdził, do „zaszczepienia swojej feodalnej władzy i hierarchji na Rusi i we wschodniej słowiańszczyźnie“ (dlatego mieliśmy „krucjatę modlitw“, przyp. red.) i aby „pozyskawszy uzabobonnione masy wyłącznie dla siebie“, mógł grozić Polsce jej własnymi obywatelami i wymuszać na niej coraz większe ustępstwa i przywileje.

Również i pogróżki Długosza są w dalszym ciągu aktualne. Oto jezuicka „Polska“ (w cudzysłowie) grozi Polsce (bez cudzysłowu) wojną, o ile nie wykona ona (ta, bez cudzysłowu) natychmiast konkordatu i nie odda wszystkich majątków kościelnych skonfiskowanych przez zaborców księżom katolickim.

No, ale niechby jeno teraz spróbowali! Bardzo ich o to prosimy.

Miłosierdzie katolickie w szpitalach krakowskich.

Przy ul. Kopernika w Krakowie, w dużym i okazałym budynku, mieści się szpital pod firmą Ś. Łazarza. Lewe jego

---

[4]) Długosz zaprezentował się wówczas sejmowi, jako „patrjota(!) lecz zaprzysięgły urzędnik Rzymu“. Aby tego rodzaju „contradictio in adjecto“ (sprzeczność w przymiotniku, jak np. sucha woda, zimny ogień, a w danym wypadku „wróg - patrjota“) pogodzić, trzeba być co najmniej księdzem katolickim, żyjącym łgarstwem i demagogją, zamydlającą oczy i zaciemniającą rozsądek. Tak, jak nie można jednocześnie być i nie być, nie można jednocześnie być patrjotą i wrogiem, katolikiem i polakiem. Nawet pismo powiada: Żaden nie może dwiema panom służyć, bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo przy jednym stać będzie, a drugim wzgardzi“. (Mt. 6 Ł. 16). Dlatego całe przemówienie Długosza na sejmie w Lublinie jest dowodem, że służy on tylko jednemu panu, t. j. któremu „przysiągł“: t. j. Rzymowi, a nie Polsce, którą „gardzi“ pomimo swego „patrjotyzmu“. I tak oni wszyscy.

Red.

skrzydło zajmuje oddział chirurgiczny. Nie będę tu opowiadał o tem, w jaki sposób i dlaczego znalazłem się w tym szpitalu. Wspomnę tylko, że w r. 1928 kasa chorych wysłała mnie na operację do owego szpitala Łazarza. Znalazłem się w dużej czystej sali, lecz tak przepełnionej, że ten, kto tego nie widział, napewno by nie uwierzył. Na łóżkach leżeli chorzy po 2-ch na jednem. Porządek na sali utrzymywały służące pod komendę siostry miłosierdzia. Siostra ta, imieniem Józefa, z miną i zachowaniem się kaprala, wymyślała służącym i chorym iście po koszarowemu. Głos gruby, ordynarny, szorstki. Regularnie, podług zegarka, zjawiała się ona zawsze punktualnie o godz. 8 rano i 8 wieczorem ze stereotypową komendą: „Zmówimy pacierz!“

Na tę komendę, każdy chory, o ile mógł ustać na nogach własnych bez pomocy, obowiązany był zerwać się, klęknąć na kolana na posadzce i powtarzać za panią siostrą słowa pacierza. Trwało to zwykle dość długo gdyż po pacierzu i modlitwach do boga ogólnego, następowały jeszcze dłuższe modlitwy do poszczególnych bogów, i bogiń.

Podczas modlitwy siostra Józefa przeobrażała się: głos jej stawał się miłym, słodkim, łagodnym, dźwięcznym. Zdawało się, że to jakaś inna osoba. Gdy na sali zjawiał się ksiądz, siostra Józefa przybierała minę łagodnej owieczki, skromnie spuszczając oczy.

Przeznaczonemu do operacji, siostra podawała wieczorem olej rycynowy, potem zaraz zjawiał się ksiądz, a na drugi dzień, bardzo rano, bo to było księdzu wygodnie, przychodziła komunja. Na ten widok, każdy mogący się ruszać chory, musiał padać na kolana i warować, dokąd spowiednik nie opuści sali.

Gdy przyszła na mnie kolej iść pod nóż, zjawiła się siostra Józefa i powiada:

— No — pan jutro do operacji... Zaraz dam panu olej a potem pójdzie do spowiedzi!

— Hm, siostro, nie wiem jak to zemną będzie?... Olej, to, i owszem! Ale najgorzej z tą spowiedzią: ja wcale nie myślę umierać i nie mam najmniejszej ochoty do pokuty.,.

— Jakto? A kiedyż pan był u spowiedzi?

— Ja? Widzi siostra, ja właściwie... nie uznaję spowiedzi. Byłem ostatni raz w dzień ślubu, bo ksiądz tego odemnie wymagał, ale nie miałem i wówczas ku temu chęci, jak i obecnie jej nie czuję.

Siostra Józefa złapała się za głowę.

— O laboga! A jakiegoż pan wyznania? Czy pan jest katolik, kalwin, luter czy prawosławny? To w Krakowie można znaleźć pastora, popa, rabina — co pan chce.

— Otóż to właśnie, siostro szanowna, że nie potrzebny mi ani rabin, ani pop, ani pastor, ani ksiądz, bo ja wszystkie wyznania szanuję, ale sam nie wyznaję żadnego — jestem

bezwyznaniowcem, wolnomyślicielem, ateuszem, postępowcem, liberałem...

— O Chryste! Ale to wszystko mało mię obchodzi. Będzie pan o tem z księdzem mówił. A bez spowiedzi nie pójdzie pan na operację, żeby pan wiedział.

Spojrzała na mnia wzrokiem bazyliszka i odeszła.

Wróciła za chwilę z potężną szklanicą, napełnioną olejem rycynowym: porcja wystarczająca dla konia fornalskiego w zupełności.

Opróżniłem szklanicę jednym haustem, w zdumienie wprawiając siostrę. Spojrzała na mnie łagodniej. Stanęło na tem, że nie ksiądz do mnie, lecz ja do niego pójdę do kościoła szpitalnego.

Nazajutrz tedy udałem się do kościoła. Siostra Józefa za mną. Ksiądz już siedział w konfesjonale, uprzedzony przez siostrę, jakiego to heretyka będzie miał przed sobą.

Rozpoczęła się dyskusja religijna, która, naturalnie, do niczego nie doprowadziła. W końcu naprawiacz sumień ludzkich, widząc, że nic nie wskóra, zakonkludował:

— Szkoda czasu! Widzę, że jesteś zbłąkaną duszą. Nie widzę jednak w sumieniu twem nic zdrożnego i dlatego udzielam ci rozgrzeszenia, komunji jednak nie dostaniesz. Nie chcę i nie mogę marnować krwi i ciała zbawiciela. Gdyby jednak było z tobą źle bardzo po operacji, to daj mi znać przez siostrę Józefę, wtedy ja pośpieszę i udzielę ci komunji. A jeśli operacja uda się, to módl się codzień do matki przenajświętszej, może cię natchnie łaską swoją i oświeci, wrócisz na prawą drogę, wówczas po jakich 2 tygodniach poprawimy spowiedź i udzielę ci komunji. A teraz idź i módl się!

Odszedłem, kierując się ku wyjściu. Siostra Józefa za mną. Zadyszana, dogoniła mię na korytarzu.

— Dokąd pan idzie? Przecież trzeba przystąpić do stołu pańskiego.

Ledwie zdołałem jej wytłomaczyć, że ksiądz nie uznał mię za godnego tego zaszczytu. Zbladła, a potem zaraz zaczerwieniła się od gniewu jak indyk. Zła była okrutnie.

Nie będę tu opisywał przebiegu operacji, bo to do rzeczy nie należy.

Gdym otworzył oczy, ujrzałem pochylone nademną 2 siostry miłosierdzia. Będąc pod wpływem narkozy, powiedziałem im, co o nich myślę:

— A, siostry miłosierdzia! Wy obłudnice, wy faryzeuszki, wy pobielane groby! Wy śmiecie nazywać się służebnicami bożemi?

I znów zapadłem w sen...

Później dowiedziałem się, że siostra Józefa, bojąc się bym zawiele nie powiedział, dała mi aż 2 zastrzyki podwójne, zdolne powalić konia. Była to jej zemsta za mój ateizm. Gdybym był po tych silnych zastrzykach za-

snął na wieki, niktby się nie dowiedział przyczyny mej śmierci: „Zmarł po operacji“ powiedzianoby.

Zemsta sióstr miłosierdzia trwała dalej.

Na pierwszy zaraz obiad dano mi stare, nadgniłe cuchnące jajka z białkiem, zamiast rosołu z żółtkami. Herbatę podawano mi w otłuczonem naczyniu, zupę bez łyżki, wszystko brudne, zaniedbane. Obsługa nie słuchała moich słów. Na łóżko moje wpakowano jakiegoś draba, porzniętego w nocy nożami.

Miałem zamiar poskarżyć się na takie traktowania lekarzowi naczelnemu. Odradził mi sąsiad, długo przebywający w szpitalu i znający dokładnie tamtejsze stosunki. „Jeśli nie chce pan iść do trupiarni, niech pan stara się jaknajprędzej wydostać stąd. Skargi nic tu nie pomagają i odnoszą wręcz przeciwny skutek. Pan przecie widzi, że tu różnie ludzi traktują. Ci, co cieszą się sympatją której z sióstr lub któregoś z lekarzy, mają wszystko. Panu dają bez łyżki, na skorupie, stęchłe jaja. Tam, za tą zasłoną, jak pan widzi, leży swój człowiek — ksiądz. Ten nie ma potrzeby skarżyć się. Nie zbywa mu na niczem. Dostaje wino, świeże jajeczka, befsztyczki, kurczątka. A wszystko podane wspaniale, czyściutko, na tacy, z serwetką. Rozwala się na czystej i miekkiej pościeli. Nasiadówkę do łóżka mu dostarczyli, a panu dali nasiadówkę w zimnej łazience, a w tej samej wodzie już się trzech chorych przedtem wymoczyło. Radzę panu wydostać się stąd jaknajprędzej — to będzie najlepsze.“

Poszedłem za radą chorego sąsiada. Wyszedłem ze szpitala w parę dni po operacji i zamieszkałem w hotelu, dziękując wszystkim „fikcyjnym“ bogom greckim i rzymskim za to, że mi się udało wyrwać z rąk służalców „jedynego prawdziwego boga“ chrześcijańskiego.

Udającym się zaś na operację do szpitala Łazarza w Krakowie, radzę zabierać z sobą: „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa“ Tomasza à Kempis, łyżkę, nóż, widelec, talerz, kubek, cukier, cytrynę i spory zasób drobnych monet, któremi należy opłacać wszelką usługę zdrowych posługaczek szpitalnych. Co do mnie, postanowiłem nie poddawać się nigdy żadnym operacjom w szpitalu, gdzie chorych pielęgnują dewotki. A gdyby mi kiedy przyszło na to, udam się do szpitala starozakonnych, gdzie nie mają dostępu klechy i siostry miłosierdzia katolickiego.

Antoni Górski

Wierzch i podszewka

Czytając prasę t. zw. „katolicko-narodową“, znajdujemy w niej nietylko zwykle napaści na inne wyznania, i na tę część narodu, która nie należy do obozu „klerykalno-narodowego“, lecz czasami i rzeczy, jakby pisane pod dyktando t. zw. „ducha czasu“. Byłby to objaw zupełnie pocieszający, gdyby nie

podszewka tych spraw, utkana z niecnych intencyj, a dająca o sobie znać na każdym kroku i wyłażąca przy lada dotknięciu, jak przysłowiowe szydło z worka.

W numerze 11-ym „Wolnomyśliciela“ zacytowaliśmy korespondencję, umieszczoną w „Kurjerze Warszawskim“, z której życie samo poprostu krzyczy o jaknajszybsze zaprowadzenie cmentarzy gminnych na całym obszarze Państwa, aby nienawiść wyznaniowa żyjących nie mogła już dosięgać tych, co „odeszli“, znęcać się nad zwłokami ludzi zmarłych i aby ustały wreszcie te gorszące sceny, jakie towarzyszą wszystkim pogrzebom różnowierców lub bezwierców w Polsce w XX wieku.

Oto inny przykład. Zakomunikowano nam niedawno ze strony oficjalnej, iż „Wolnomyśliciel Polski“ jako organ, idący niewątpliwie z duchem czasu, zdołał w niedługim stosunkowo czasie nastroić „bluźnierczo“ nawet chrześcijańską demokrację, gdyż ta pozwoliła sobie w jednem ze swoich pisemek illustrowanych przedstawić ducha św. w taki sposób, iż władze administracyjne musiały to pisemko skonfiskować, a redakcję, pociągnąć do odpowiedzialności sądowej za bluźnierstwo w druku (art. 73 kod. karn.). Kto temu winien? Niewątpliwie duch czasu, bo „Wolnomyśliciel Polski“ nie ma, jako żywo żadnych stosunków z chadecją.

Do takich słusznych rzeczy o niecnej podszewce należy niewątpliwie i wiadomość, zamieszczona niedawno w „Illustrowanym kurjerze“ krakowskim:

Za wprowadzeniem urzędów stanu cywilnego w Małopolsce wschodniej.

Artykuł nasz domagający się wprowadzenia urzędów stanu cywilnego w Małopolsce wschodniej wywołał żywy oddźwięk w społeczeństwie. Świadczy o tem obfita korespondencja.

W korespondencji tej zwracają czytelnicy uwagę na fakt olbrzymiego zmniejszenia się liczby dawniej tak częstych małżeństw mieszanych (między Polakami i Rusinami). Jest to niewątpliwie wynik wprowadzenia ksiąg metrykalnych przez księży grecko-katolickich. W wielu wypadkach stwierdzono bowiem, że ksiądz grecko-katolicki robi trudności wprost nie do pokonania osobom różnych obrzędów, które chciały się pobrać.

To też jednym skutecznym środkiem ukrócającym agitację księży ruskich w jakimkolwiek bądź idącą kierunku jest wprowadzenie urzędów stanu cywilnego.

Więc jakżeż to? Domagamy się od dłuższego czasu wprowadzenia świeckich ksiąg stanu cywilnego; nigdy nie mieliśmy złudzeń co do bezstronności kleru wszech wyznań, prowadzących księgi metrykalne; alarmowaliśmy opinję, że sfery katolickie stają okoniem i, za kulisami, poruszają — nietyle niebo, bo wiedzą, że to nie pomoże — ile ziemicy naszej decydujące sfery, by nie dopuścić do sekularyzacji ksiąg stanu cywilnego, a w tem bomba: — ultrakatolickie pismo krakowskie, najniewątpliwiej z inspiracji sfer kościelnych domaga się tego samego co my: świeckich ksiąg stanu cywilnego!

Wszystko jednak wyjaśni się, skoro się zrozumie, że żądanie to sfer „narodowo-katolickich“ dotyczy jedynie Małopolski

Wschodniej, gdzie ludność ukraińska wyznaje w większości nie rzymski-katolicyzm, lecz obrządek grecki; świeckie księgi stanu cywilnego mają być tylko narzędziem polonizacji, nawracającem ludność na katolicyzm. Że tak jest, świadczy inna jeszcze notatka:

Nakaz bojkotowania języka polskiego

Z procesu Parocha Iwańczuka

Donosiliśmy swego czasu, że duchowieństwo grecko-katolickie, mimo wyraźnych postanowień ustawowych, prowadzi księgi metrykalne w języku ruskim zamiast w polskim i tego języka używa w korespondencji z urzędami państwowemi.

W tych dniach na ławie oskarżonych zasiadł paroch z Tłustego ks. Iwan Iwańczuk, który na urzędowe pismo starostwa w Skałacie odpowiedział po rusku: ks. Iwańczuk, skazany przez starostwo administracyjnie na 100 zł. grzywny lub 5 dni aresztu, odwołał się do sądu okr. w Tarnopolu, który po przeprowadzonej rozprawie zatwierdził wyrok administracyjny, zmniejszając jedynie karę do 50 zł. względnie 2 dni aresztu.

Obrońca oskarżonego powołał się m. in. na zarządzenie grecko-katolickiego metropolitalnego ordynatarjatu lwowskiego, ogłoszonego w ruskich „Lwowskich Eparchjalnych Wiadomościach" z 30 września 1919 r. nakazując obowiązkowo prowadzenie metrykalnych ksiąg i korespondencji z władzami państwowemi w języku ruskim. Zarządzenie to, do którego, jak twierdził obrońca, nakazuje stosować się posłuszeństwo kanoniczne, dotychczas nie zostało zmienione. (Gaz. Warsz. 6.5)

A czyż urzędnicy Rzpltej, księża katoliccy w Małopolsce, prowadzący księgi stanu cywilnego, nie prowadzą tychże w jakiejś obcej liturgicznej łacinie, zamiast rzetelnie po polsku, czyż ci księża rzymsko-katoliccy z nakazu swoich biskupów nie bojkotują języka polskiego? Pomstują na konkurencyjnych księży obrz. greckiego, sami zaś są nie lepsi. Domagamy się stanowczo od władz polskich, by ukróciły tę samowolę zuchwalców watykańskich, panoszących się w Polsce w sposób ubliżający jej powadze, w tem przekonaniu, że tu im jeszcze wszystko wolno — i zaprowadziły w całym kraju świeckie księgi stanu cywilnego. Zanim to zaś nastąpi, aby zmusiły kler rzymsko i grecko katolicki do szanowania języka polskiego i prowadzenia ksiąg stanu cywilnego w języku urzędowym.

Nawiasem zaznaczymy: jacyż to straszni obrońcy wolności sumienia domagają się od duchownych greckiego obrz. nieutrudniania zawierania małżeństw mieszanych, bo liczą na zaagitowanie małżonkę greckiego wyznania przez małżonka rzymsko-katolickiego. Ale niechby jednak zgłosiła się do katolickiego księdza para, w której jednym z oblubieńców byłby bezwyznaniowcem: księżulo zrobiłby znak krzyża, splunąłby, wyrzuciłby oboje za drzwi i ślubu nie dał, bo wie, że żaden bezwyznaniowiec, nigdy już w katolickie dogmaty i zabobony nie uwierzy. Nas by to zresztą nie martwiło — bezwyznaniowcy bowiem dadzą sobie w życiu radę bez kościelnych ślubów i kapłańskiego błogosławieństwa.

Frapujący (pociągający) i trafny tytuł nadała „Gazeta Warszawska" jednej ze swych notatek: „Arogancja Katolicka"! Jakby nam z ust wyjęto! My, wezwyznaniowcy, do-

znaliśmy nieraz jej na naszej skórze. Ale oto treść tej notatki:

Arogancja „katolicka"

Z organu ks. Ulitzki, „Schlesische Volkszeitung" z dn. 8 b. m., dowiadujemy się, że uczestnicy niemieccy berlińskiej konferencji porozumiewawczej między katolikami francuskimi i niemieckimi wysunęli propozycję wspólnego objazdu Górnego Śląska, zwłaszcza Śląska polskiego.

Czy nienależałoby tej nowej komisji kontrolującej pokazać delikatnie — drzwi?

Przeczytawszy jej treść, chyba sobie, czytelnicy, oczy przecieracie. Kościół „katolicki" — powszechny, powszechnej miłości, kościół jedyny, podlegający jednemu „nieomylnemu" władcy — papieżowi — a tu dwie gałęzie z jednego pnia jakby się zwalczają. Ano tak, wiemy przecież oddawna, że papież jest na usługach niemieckiej polityki „kulturkampfowej", że zamiast dosyć niezależnego Gasparriego uczynił kierownikiem polityki zagranicznej swego — wierzcie mi — „Saisonstaatu" (państewko sezonowe — złośliwy termin, ukuty przez Niemców pierwotnie dla oznaczenia Polski) byłego nuncjusza (przedstawiciela dyplomatycznego) Watykanu w Niemczech, wiernego przyjaciela, wysługującego się Niemcom. To też katolicka Polska nie pokaże „delikatnie — drzwi" tym katolikom z Niemiec, gdyż w odpowiedniej chwili przyjdzie nakaz z Rzymu i nawet Gazeta Warszawska zatańczy w takt watykańskiego ober-tassa[2]). Ale też i ta „Gazeta Warszawska" czasem pokaże pazurki, których, zdawałoby się, od czasu zaprzestania przez wonczas antiklerykalnego Dmowskiego walki z kościołem katolickim, nie posiada już zgoła.

Inną bolączkę naszego życia porusza taż „Gazeta Warszawska" w notatce, jakoby od podpisanego czytelnika, poświęcona obronie pracy „sióstr miłosierdzia" w spitalach. Raz jeszcze musimy podkreślić, że szpital nie jest kruchtą, lecz instytucją, poświęconą służbie zdrowia. Nie potrzebujemy „oblubienic Chrystusowych", nie umiejących początkowo nie robić, a uczących się na skórze i kosztem chorego. Państwo potrzebuje swieckich pielęgnianek, które muszą znaleźć oparcie dla swego bytu, podstawę zarobkową w szpitalu. Z drugiej strony w szpitalach znajdują się chorzy nietylko wyznania rzymsko-katolickiego, nie jest zaś rzeczą przyjemną dla chorych nie zainteresowanych, wysłuchiwać pień i piań takich sióstr — przeważnie niemuzykalnych, ani też narażać się na różne szykany i przykrości ze strony propagatorek katolickiego zbawienia. Piszący te słowa przypomina sobie postępek pewnej takiej siostry, który chyba z chrześcijańskiem miłosierdziem — nie miał nic wspólnego obskurantyzmu.

W szpitalu . umierala spokojnie, bez świadomości zbliżającej się śmierci, staruszką, przy której boku czuwał syn. Nie chcąc niepokoić i denerwować matki, nie zgodził się na propozycję „siostry" sprowadzenia księdza. „Siostra" napozór

[2]) TASS— Sowiecka ajencja telegraficzna.

się z tem pogodziła. Wkrótce jednak po wyjściu syna staruszki, wezwała księdza. Staruszka, uzyskawszy świadomość bliskiego swego końca — cierpiała stokrotnie w ciągu jednej jeszcze doby, aż w męczarniach umarła.

R. D.

Z czego żyją niebieskie ptaki?

„Wejrzyjcie na ptaki niebieskie, iż nie sieją, ani żną, ani zbierają do gumien, a Ojciec wasz niebieski żywi je.“

Mt. VI.26.

Jeden z naszych czytelników nadsyła nam z Ameryki następujący list; list jeden z tych, jakiemi kolonję polską w Stanach Zjednoczonych zasypują katolickie „ptaki niebieskie“, pozbawione tam stałego uposażenia konkordatowego ze skarbu Unji.

List ten, podpisany przez o. „Josepha Kleina“ (niemca!) bez daty, jak typowa reklamowa ulotka, drukujemy dosłownie

Franciscan Missionary Union*) 1615 Vine Street, Cincinnati, Ohio.

SZANOWNY PANIE:

Jestem katolickim księdzem, który prosi o pomoc, — i czy to nie wystarczające, aby rozpromieniło twarz Sz. Pana na samą myśl, przychodząc z pomocą obcemu?

Tak jest, — ja pragnę i proszę Pana, — mój przyjacielu katolickiego ducha, dla setek naszych indyjskich, meksykańskich i chińskich Misji, które polegają jedynie na moją pomoc. O ile nie może Sz. Pan ofiarować coś teraz, albo zebrać wśród swych znajomych cośkolwiek na Wilję dla dzieci, to może choć przeznaczy Pan coś na gwiazdkę na Boże Narodzenie lub też ofiarę na dzień biednych zmarłych dusz w Pańskiej rodzinie?

Zapisanie ich do naszego „Związku Mszy Świętej,“ będzie pięknym podarkiem dla nich i jednocześnie wielką pomocą dla mnie.

Proszę pamiętać, że nasze Misje nie są wspierane przez „Towarzystwo Krzewienia Wiary“. — My musimy zabiegać o wszystko sami. — Oczywiście jest to dla nas nadzwyczajny trud, wobec tego, ponieważ często daje się słyszeć od tych, — „którzy niby wiedzą lepiej,“ — że wszystkie Misje są wspomagane przez to Towarzystwo.

A więc proszę mi nie odmawiać choć najskromniejszej daniny, za którą będę Sz. Panu niezmiernie wdzięczny.

Szczerze oddany w Chrystusie
Fr. Joseph Klein, o. f. m.

P. S. Czy życzyłby sobie Sz. Pan. jeden ze świeżych kwiatów zerwanych w zeszłe lato na łąkach położonych wokoło Nazaretu i Betleem i poświęconym przy Świętym Grobie? — Proszę przeczytać sobie dokładnie załączone kartki o uroczystości Narodzenia Dzieciątka Jezus.

Wtedy prześlemy taki kwiatek, gdy otrzymamy ofiarę zebraną wśród swych znajomych i krewnych w sumie $ 15.00, albo też choć większą część tejże. (podkr. n.)

Świeży zeszłoroczny kwiatek“, rwany na łąkach „wokoło Nazaretu i Betleem“, poświęcony przy św. grobie i przywieziony do Ameryki, a wszystko razem za 15 dolarów— to doprawdy za bezcen! Zwłaszcza, gdy się zważy, że Nazaret leży na północy a Betleem na południu (przy kosztownej komunikacji samochodowej!).

---

*) Związek misjonarzy franciszkańskich. Red.

Jest to tembardziej tranzakcja pomyślna dla polskiego wierzącego prostactwa, iż nabywszy taki świeży choć zeszłoroczny kwiatek za 15 dol. (a nawet za mniej), może całkowicie polegać „na jego pomoc," a przytem „rozpromienić twarz" pomysłowego o. Kleina.

„O mądrala, ten nie zginie!" powiedział Marszałek Piłsudski o greckim kapłanie Kalchasie.

Tenże korespondent podaje nam niektóre szczegóły z nauk misyjnych, odbytych w miejscowości Lowell Mass.

Oto np. jeden z misjonarzy zwraca się do rodziców z następującą zachętą: „Jeżeli chcecie, aby wam dzieci nie moczyły siennikow, dawajcie je chrzcić tylko w tutejszej parafji."

Inny znów zachwalał „Łzy Matki Boskiej," pomagające na wszelkie dolegliwości. Łzy te, w cenie 2-ch dol. za jedną można było nabywać w zakrystji miejscowego kościoła. Trzeci zasię nawoływał parafjan, aby rozkupili wszystkie bilety na bazar, urządzony przez miejscowego proboszcza, bo „Pan Jezus bardzo lubi gotówkę."

Korespondent nasz pisze dalej: „W sąsiedniej miejscowości ksiądz kupił sobie farmę i rasowego byczka, poczem ogłosił z ambony i w miejscowej gazecie, aby parafjanie tylko do tego byczka przyprowadzali krowy."

Co wielebny protektor, rasowego byczka obiecał parafjanom za pamięć o jego rozpłodowcu — korespondent nasz nie pisze. *R.*

I Bułgarja ma dość praktyk konsystorskich

Ostatnio wzmogła się w Bułgarji żywa akcja na rzecz zaprowadzenia ślubów cywilnych. I tam powodem wystąpienia opinji publicznej przeciwko ślubom kościelnym stały się praktyki konsystorskie prawosławnego synodu.

Z Koła Warszawskiego Polskiego Związku Myśli Wolnej

Na posiedzeniu Zarządu Koła warszawskiego Polskiego Zw. Myśli Wolnej w dniu 27 maja przyjęto 15-u nowych członków, z których 13-u zgłosiło wystąpienie z kościołów i gmin wyznaniowych.

Z książek

Julja Wieleżyńska. ZE STUDJÓW NAD ASNYKIEM. Warszawa, 1930, str. 88, cena 5.40.

P. Julja Dickstein-Wieleżyńska, jedna z najsubtelniejszych i najbardziej utalentowanych poetek polskich, tłumaczka djalogów Giordana Bruno, „Od barbarzyńskich" Carducciego, „Wstępu do filozofji", W. Jerusalema i wielu innych, autorka szeregu szkiców i monografij literackich (o Krasiń-

skim, Lenartowiczu, Ujejskim, Romanowskim, Asnyku, Konopnickiej), inicjatorka Komitetu nczczenia Adama Asnyka i jedna z założycieli Tow. polsko-włoskiego im. Leonarda da Vinci, wydała dwa szkice, poświęcone „poecie głębin“: „Asnyk i przyroda“ i „Dwugłos Asnyka i Konopnickiej“, będące plonem naukowym wspomnianego Komitetu. „Studja“ zamyka „List Stanisława Krzemieńskiego do Asnyka“, nigdzie dotąd nie drukowany, dotyczący wiersza autora „Nocy pod Wysoką” p. t. „Lykofron do Fatum“.

Pierwsze z tych „Studjów“ rozpatruje stosunek Asnyka do przyrody, poparty całym szeregiem cytat z jego liryków oraz wykazuje rolę, jaką odgrywała przyroda w twórczości autora „Albumu tatrzańskiego“.

Drugi zasię poświęcony został analizie literacko-filozoficznej stosunku Asnyka i Konopnickiej do przeznaczenia. Na wiersz Asnyka „Lykofron do Fatum“[1]) Konopnicka odpowiedziała wierszem p. t. „Fatum do Lykofrona“ (w cyklu „Linje i dźwięki“). To studjum, aczkolwiek rozmiarami mniejsze od poprzedniego, jest niemniej od poprzedniego ciekawe. Rozpatrzenie metodą porównawczą cech twórczości i odrębności myślowych dwóch największych potentatów naszej poezji z doby popowstaniowej w odniesieniu do jednego i tego samego tematu wypadło znakomicie. Doskonała znajomość twórczości Asnyka i Konopnickiej, umiłowanie przyrody zwłaszcza tatrzańskiej poparte rzadką wnikliwością estetyczną i szerokiemi perspektywami filozoficzno-przyrodniczemi, sprawiły, że oba te „Studja nad Asnykiem“ wybijają się na czoło naszej wiedzy o twórczości nietylko autora „Lykofrona do Fatum“, ale i autorki „Fatum do Lykofrona“.

Nie możemy, niestety, dać na tem miejscu obszerniejszego sprawozdania z rezultatów analizy autorki „Okiści“ (ostatni zbiór poezji p. Wieleżyńskiej), przeprowadzonej w obu „Studjach“. Nadmienimy tylko, że dla Asnyka (zgodnie z tradycją mitologiczną) — przeznaczenie (fatum) jest „surową, w cieniu schowaną władzą“, „pożerającą ludzi i bogów“, która acz nikogo nie karze, ani nie nagradza, wszystkim jednak wyznacza miarę koniecznej męki. Władza ta zniszczyła wg. Lykofrona, Olimp grecki, pozostawiwszy bezradnego człowieka samemu sobie. Zdaniem Lykofrona-Asnyka ślepe greckie fatum zastąpi bóg miłości, aby „prowadzić światy wzwyż po szczeblach dalszych przemian“.

---

[1]) To znaczy: odezwanie się, zwrócenie się Lykofrona (jednego z ostatnich poetów greckich) do fatum. Fatum u starożytnych rzymian znaczyło to samo, co u dawnych greków Mojra lub Ananke. Były to pojęcia losu, konieczności, przeznaczenia, od którego zależeli nawet bogowie olimpijscy, niewyłączając boga czasu: Kronosa. Dopusty fatum (losu) rzymianie nazywali „fata“, stąd do dziś używamy słowa fatalny. Zarówno greckie Mojra i Ananke, jak i rzymskie fatum były to pojęcia tak oderwane, iż ich nawet lubiący konkretyzować (uzmysławiać) wszelkie pojęcia grecy nigdy nie przedstawiali w formie plastycznej (np. posągu lub obrazu).

Na to słowami Konopnickiej zwraca się Fatum do Lykofrona-Asnyka: „Dajcie mi jeszcze tych dawnych, starych tytanów, co głazy w niebo ciskali i z pięścią szli przeciw bogom, by wydrzeć z rąk zeusowych ogień żywota“, niech walka dawna człowieka z Olimpem „rozpali piersi śmiertelnych, które w zwątpieniu zastygły, jak piersi trupa“, a człowiek wstanie znów wolny i nie będzie się czuł zawisłym od sił nadziemskich nieznanych. Bo „fatum jest tylko wagą sił życia i — życia woli”. A bogowie? oni „są tylko kłamstwem dla niewolników, co karki w jarzmo schylają i małoduszne łzy leją, zdala od czynu“. Bo każdy bóg jest tylko wyrazem „niemocy i słabości duszy człowieka“ i niczem więcej. Jak bóg i fatum wieczyste jest tylko dla tych nieubłagane, co „grzbiet swój podają z uległością niewolnika pod bicz doli, nieoszczędzający nawet ich spodlonej głowy. I fatum tak jak i bóg-tyran człowieka tylko tych prześladuje, którzy „nie są godni piastować dziedzictwa Prometeusza“ i przed bogami korzą się i padają na twarz. Albowiem każdy z żyjących sam w sobie nosi swe losy i nie widziano jeszcze, aby ten upadł, kto „stał silnie przy prawie człowieka“, „bił buntem w błękity“, „silnie wzrastał w ziemię“ i „nie przeczył swoim czasom“. A Olimp zczezł nie dlatego, że padł na niego cień krzyża Golgoty, ale dlatego, że ludzie w niego zwątpili, i jego rzekomi mieszkańcy przestali być ludziom potrzebni: przeżyli się, skoro starożytność grecko-rzymska wyrosła ponad pojęcia tych czasów, które zrodziły hierarchję olimpijską. Dla inteligentnych i rozwijających się swobodnie pod względem umysłowym greków wystarczyło na to sześciu wieków, gdy dla ogłupianych systematycznie chrześcijan dwudziestu jeszcze za mało.

Z chwilą, gdy człowiek przestał się pytać olimpijczyków o swe losy, a zwrócił się o to do swego serca i własnej piersi, „rozwiał się Olimp wysoki i runął z trzaskiem w zwaliska“. Oczywiście, że mowa tu jest o t. zw. „niebie“ greckiem, zaludnionem bogami, a nie o górze Olimp, która stoi do dnia dzisiejszego.

Jak widzimy, Konopnicka nie wierzy, ani w bogów, ani w fatum. Starożytne pojęcie konieczności było jej tu potrzebne tylko jako przenośnia poetycka.

Z tego sens moralny, że tylko niemoc własna człowieka jest żywicielką i siłą niebian i że wszelkich bogów — chrześcijańskich czy niechrześcijańskich — tylko WĄTPIENIE zabija: powstawszy dzięki marzeniom człowieka, giną nieodwołalnie z jego własnej ręki.

Wystarczy jeden moment wiary w siebie, a zwątpienie o siłach stojących rzekomo poza nami, czyli o tak zw. bogach, zarówno pojedyńczych, jak

i trójcowych, a z takim samym trzaskiem i hukiem rozpadnie się w duszy każdego wierzącego chrześcijańska Golgota i ufundowane na niej państwo kościelne papieża, z jakim rozpadł się Olimp grecki przed dwudziestoma wiekami. Gdyż zarówno chrześcijańskie niebo, jak i grecki Olimp są jednem i tem samem: zmyśleniem, samookłamywaniem się człowieka, spieniężaną i wyzyskiwaną przez kler fikcją, a w najlepszym razie osobistem marzeniem.

Że tak istotnie jest, wiedzą o tem doskonale wszyscy wolnomyśliciele i ateusze. Jest to punkt widzenia społeczniczki Konopnickiej, a nie Asnyka, który mówiąc w „Lykofronie do fatum", że zostanie ono strącone ze szczytów nieskończoności, by ukazać światu oblicze „jasnego boga", prowadzącego ludzkość siłą miłości wzwyż po szczeblach duchowych przemian, nie miał bynajmniej na myśli ewangielicznego założyciela chrześcijaństwa, lecz tylko powszechne braterstwo ludów, wyeliminowanie (wykluczenie) z dziejów przemocy i ucisku, będących zaprzeczeniem miłości i sprawiedliwości wszechludzkiej; czyli to, do czego zmierza obecnie briandowska idea Pan-Europy, mająca złagodzić narazie, a w przyszłości usunąć całkowicie wszelkie wojny, zabory i zbrojne wystąpienia jednych przeciwko drugim na kontynencie „starego świata" [2]).

Fatum dla Asnyka — to przedewszystkiem przemoc fizyczna gnębiąca sprawiedliwych.

Asnyk, którego jako poetę i jako myśliciela cenię bardzo wysoko i kocham, był, jak wiadomo, członkiem rządu narodowego w powstaniu styczniowem. Zakończony tragicznie rozpaczliwy odruch narodu, narodu, który nie chciał się pogodzić z niewolą, stał się zarazem osobistą tragedją twórcy cyklu „Nad głębiami". Uczuciu temu Asnyk dawał niejednokrotnie bardzo silny wyraz, albo wprost, jak np. w wierszu „W rocznicę powstania", albo pod przenośnią poetycką, jak w „Lykofronie do fatum".

I jeden i drugi z tych wierszy należą do najgłębszych w liryce patrjotycznej Asnyka. Że „Lykofron do fatum" ma podłoże patrjotyczne, świadczy także i dedykacja „przyjacielowi", Stanisławowi Krzemieńskiemu, również członkowi rządu narodowego! Z listu Krzemieńskiego widzimy, że „przyjaciel" doskonale zrozumiał myśl autora. Czy i Konopnicka tę myśl zrozumiała? sądzę, że tak. Tylko gdy Asnyk pociesza się w swym bólu wiarą w zapanowanie powszechnej miłości na świecie, Konopnicka uderzyła w nietzscheańską „wolę do mocy" i wypowiedziała między wierszami myśl, że miłość ta sama nie przyjdzie, o ile jej nie

---

[2]) To znaczy: Europy — w odróżnieniu od „nowego świata", czyli Ameryki. Właściwie „starym światem" nazywamy znaną w starożytności połać globu ziemskiego.

wprowadzimy w życie zbiorowym powszechnym wysiłkiem, choćby nawet kosztem chrześcijańskiego Olimpu[3]).

Uważałem za potrzebne dać powyższe wyjaśnienie, aby czytelnicy nie sądzili, przypadkiem, że Asnyk był dewotem, co byłoby krzywdzącem go domniemaniem. Nie był on wprawdzie ateuszem, ale był niewątpliwie panteistą — agnostykiem, na co się w zupełności godzę z szanowną autorką. A od Schopenhauera wiemy, że panteizm jest tylko ugrzecznionym ateizmem.

Byłoby bardzo pożądane, aby autorka głębokich i pięknym językiem skreślonych rozpraw o Asnyku zechciała poświęcić specjalne studjum Marji Konopnickiej, jako wolnomyślicielce. Materjału jej nie zabraknie.[4]) A zrobiłaby to niewątpliwie bardzo dobrze, nietylko dlatego, że umie to robić i że zna jej twórczość, ale i dlatego, że sama jest wolnomyślicielką. Rzecz o tyle byłaby na czasie, że w bieżącym roku (10 września) przypada dwudziesta rocznica śmierci autorki „Pana Balcera", „Imaginy", „Italji", „Głosów ciszy" i „Listu do o. o. Zmartwychwstańców w Rzymie."

Henryk Wroński

Dr. Adam Fischer, prof. Uniw. Jana Kazim. LUD POLSKI, podręcznik etnografji polskiej. 3 mapy, 58 ilustr. Lwów, Warszawa, Kraków, nakład „Ossolineum," 1926, str. 240, cena 6 zł.

Czytelnikom naszym, interesującym się etnografją (nauką o życiu i zwyczajach ludu),jak również i nauczycielstwu, stykającemu się stale z ludem miejskim i wiejskim bardzo tę książkę polecamy. Ci ostatni zwłaszcza winni wiedzieć, jaki typ psychiczny i umysłowy przedstawia środowisko, wśród którego mają oni pełnić swoją misję oświatową i cywilizacyjną i co z „ludowego podnosić do ludzkości," a co zwalczać lub korygować.

Książka jest podręcznikiem, ale podręcznikiem dobrze napisanym. Autor, który ma za sobą taką pracę etnograficzną, jak „Zwyczaje pogrzebowe ludu polskiego," (Lwów, 1921, cena 10 zł.) w tym zwięzłym podręczniku wiele rzeczy musiał z konieczności tylko pobieżnie omówić, a o innych tylko wspomnieć. Starał się jednak powiedzieć o wszystkiem, co może w tej dziedzinie interesować przeciętnego inteligenta.

Wydanie tego rodzaju książki, ujmującej w jedną zwartą całość dotychczasowe poszukiwania etnograficzne (Kolberga, Karłowicza, Glogera, Bystronia, Klingera i in.) oraz uwzględniającej materjały, drukowane w rocznikach „Wisły," było b. pożądane.

---

[3]) P. Wieleżyńska powiada: „U Asnyka Olimp to symbol, u Konopnickiej Olimp, w przeciwstawieniu z Golgotą, to przeżyta historja" (str. 79).

[4]) „Wolnomyśliciel Polski" z całą skwapliwością studjum to wydrukuje. Red.

Mamy tu nietylko etnografję, ale i folklor (jeden z działów etnografji, traktujący o kulturze duchowej ludu, o jego obyczajach i pojęciach).

Wolnomyśliciela w książce tej może specjalnie zainteresować strona folklorystyczna: wierzenia, przesądy i zabobony ludu polskiego. Działowi temu autor poświęcił jedną trzecią część swojej pracy. Choć i w pozostałych dwóch trzecich jest tego materjału dużo. Np. lud w krakowskiem ma taką swoistą kosmogonję (naukę o pochodzeniu świata), zabarwioną pojęciami religijno-chrześcijańskiemi:

„Na początku było niebo, a w niem bóg światłości panował od wieków. Był tam i księżyc ciemny, niżej po lewej jego stronie, który podlegał bogu światła. Bóg światła stworzył najpierw wodę (stąd lud wierzy, że gdy kto wykopie przed domem studnię, zawsze natrafi na wodę), która wezbrała aż pod sam pałac niebieski, zbudowany cały z kryształu i drogich kamieni; wtedy bóg światła wziął kropidło, przeżegnał wodę (magja!) i kropił z nieba na prawo i na lewo. Ze spadających kropel, rzuconych niebieską ręką, zrodziły się anioły. Następnie, gdy woda nieco opadła, bóg wziął dwa wieloroby, złożył je na krzyż i rzucił na ziarno piasku; ziarnko to rosło, aż się rozrosło w ziemię, t. j. w placek, pływający po wodzie...“

Jak widzimy, rzecz całkiem nie gorsza od kosmogonji babilońskiej, egipskiej czy żydowskiej, a jednak nikt tego, a zwłaszcza żaden z teologów i katechetów, nie podaje za nieulegającą zakwestjonowaniu prawdę naukową, objawioną chłopom z krakowskiego. Prawdopodobnie jest tak dlatego, że ta powiastka kosmogoniczna, rodem z krakowskiego, nie zawiera w sobie koncepcji teologicznej o grzechu pierworodnym tak jak jej nie zawiera elohwistyczny początek Pięcioksięgu Mojżesza — a wiadomo że teolog — bez „grzechu“ nie miałby co na świecie robić.

Chłopi nadrabscy powiadają, że przed końcem świata będzie się robiło coraz zimniej, góry zrównają się z nizinami, a ludzie tak skarłowacieją, że będą mogli młócić zboże w piecach od chleba.

Jak widzimy i to nie jest takie niemądre. A nawet o wiele rozsądniejsze od chrześcijańskiego dogmatu o ciał zmartwychwstaniu i sądzie ostatecznym.

W związku z tą książką polecamy naszym czytelnikom jeszcze następujące prace: Juljana Tuwima, „Czary i czarty polskie,“ Warszawa, 1924. cena 6 zł. Witolda Klingera „Obrzędowość ludowa Bożego narodzenia,“ Poznań 1926, cena 4 zł. J. Bystronia „Zwyczaje żniwiarskie w Polsce,“ Kraków, Akad. 1916. cena 5 zł. oraz tegoż „Słowiańskie obrzędy rodzinne.“ Kraków 1916. cena 3.60.

H. Wr.

Głosy czytelników

ŚCISK U RADOMSKIEGO ŚCISKAŁY[1]).

Radom, w kwietniu.

Do mistycznej krucjatowej „ententy" przeciwko sowieckim bezbożnikom przyłączył się również i Radom. Na czele tutejszej odsieczy zagrożonej „wierze" stanął miejscowy ks. prałat Ściskała, postać zażywna i zgoła nieascetyczna.

Kościelny ten dygnitarz, wziąwszy sobie do pomocy endeka mec. Wronckiego z Warszawy, zebrał w niedzielę 30 marca wiec protestacyjny w sprawie prześladowania religijnego w Rosji sowieckiej. Wiec odbył się w sali kina „Corso" w uroczystym nastroju. Na zew swego pasterza stado wiernych owieczek zbiegło się w ilości ogromnej, jako że wejście było bezpłatne. Ścisk panował niezmierny, a pan Ściskała był wniebowięty, że jego głos pasterski ma posłuch taki u dwunożnej trzódki ludzkiej.

Przez całą godzinę zgórą obaj mówcy przekonywali przekonanych, że „bez boga tylko do proga", że bez boga żyć człowiek nie może, że bez niego tak samo nie można się obejść, jak i bez jego pełnomocników — kapłanów.

Praktycznie rzecz biorąc, Ściskałom więcej chodzi o tych ostatnich, aniżeli o samego boga, zwłaszcza, że oni sami uważają się za bogów. Bóg, gdyby istniał, dałby sobie radę z ludźmi bez niczyjej (czytaj: księżej) pomocy i w zasadzie tyleżby go obchodziła pomoc radomskiego Ściskały, co zamykanie cerkwi, kościołów i synagog przez sowieckich bezbożników.

Ściskałom natomiast bardzo zależy na tem, aby mieli „kogo" i w „imię czego" ściskać i uciskać. Ściskałom bez boga grozi bezrobocie. Jeśli nie będą napływały opłaty za modły, msze, chrzty, śluby, pogrzeby — zaokrąglone brzuszki i lśniące karki jegomościów mogą zeszczupleć w sposób godny litości. To też choć bywają wśród nich stuprocentowi bezbożnicy, jak np. biskup krakowski Zebrzydowski, który powiedział: „Wierz sobie choćby w kozła, bylebyś mi dziesięcinę płacił", żaden się z nich do tego nie przyzna, jak to czynią wolnomyśliciele i ateusze, lecz będą walczyć jak lwy o „wiarę" i o boga, bacząc na „jura stolae" (prawa stuły) czyli na opłaty za posługi religijne. I w tem właśnie tkwi sedno rzeczy: papież spogląda pożądliwem okiem na 160 miljonów prawosławnych, zamieszkujących

---

[1]) Z pośród mnóstwa sprawozdań z wieców protestacyjnych, nadesłanych nam z różnych stron kraju, drukujemy to jedno jako typowe.

Red.

Z.S.S.R., a różne Ściskały mówią sobie w duchu: „Ha, ha! jakby to było pięknie"!... i urządzają wiece.

Dlatego w Rzymie zawrzało, jak w ulu. Zaroiło się mrowie kardynałów, bo z upadkiem „wiary", wiąże się w sposób konieczny upadek racji ich istnienia. Stąd ta rozczulająca troska o zbawienie dusz.

Na wiecu uchwalono rezolucję, potępiającą (oczywiście) bezbożną działalność bolszewickich bezbożników. Poczem odśpiewano „Rotę" (biedna ta Konopnicka!) i zakończono ten groźny wiec protestacyjny modlitwą...

Księżulo, klnąc się na słowa mistrza, dowodził zebranym, że modlitwa ich z pewnością okaże się skuteczną, jak skuteczną okazała się już dla Meksyku, bo modli się teraz na tę intencję cały świat. Modlą się katolicy, anglikanie, prawosławni, ewangelicy, a nawet... rabini. Modli się nawet sam wielki papież w wielkim kościele św. Piotra w Rzymie... Drżyjcie więc, o bezbożnicy!

Antoni Górski

Od Administracji

Prenumeratorzy, którzy już zapłacili i ci którzy, do dnia 15 lipca wniosą przedpłatę do końca b. r. za „Wolnomyśliciela Polskiego" oraz pozatem zł. 5.50 + zł. 1.10 za porto, otrzymają niezwykłe **premjum: dzieło S Reinacha p. t. Orpheus, historja powszechna religij,** którego cena normalna wynosi zł. 20.—.

Jest to jedyna okazja przysporzenia sobie **wiekopomnej pracy**, która winna się znajdować w bibljotece każdego wolnomyśliciela.

Zlecenia prosimy kierować **jaknajszybciej** do Spółdzielni Bez Dogmatu, Warszawa, Królewska 16, należność zaś do P. K. O. Nr. 14.200.

WYSTĘPUJCIE Z KOŚCIOŁÓW

I GMIN WYZNANIOWYCH!

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:

rocznie	zł. 14.00	miesięcznie zł. 1.20
półrocznie	„ 7.00	zagranicą 2½ dol. rocznie
kwartalnie	„ 3.50	numer pojedynczy 60 gr.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Królewska 16, telefon 118-14
Konto czek. P. K. O. 14200.

Redaktor: **Marja Jankowska.** Wydawca: **Spółdzielnia „Bez Dogmatu"**.

Zakł. Graf. B. Pardecki i S-ka z o. o. Warszawa, Pańska 4.